

J. J. Boguski.

Wspomnienie o ś. p. Bronisławie Znatowiczu.

Wobec tego, że psychologiczną charakterystykę ś. p. Znatowicza dała jego rodzona córka, a nadto ze względu na to, że charakterystyka ta, chociaż pełna przywiązania i miłości, jest jednak zupełnie obiektywna i nie odbiega wcale w ogólnych zarysach od tego, co ja mógłbym napisać z mych, bądź co bądź, dorywczych obserwacji, ja w szkicu niniejszym dam tylko garść wspomnień osobistych, — aczkolwiek bardzo dawnych, jednak nader żywych i dokładnych, wspomnień dotyczących naszego poznania się i kilkuletniego bliskiego współżycia, a pozatem długoletniego stosunku już nie tak bliskiego, — lecz zawsze pełnego uznania, szczerzej życzliwości i niczem niezamąconej wiary w podstawy jego charakteru.

Znatowicza poznałem już w pierwszym roku mych studjów na Uniwersytecie Warszawskim. W roku tym chemję wykładał profesor dr. Erazm Langer, chemję techniczną docent R. Wawnikiewicz. Na wykładach nie spotykaliśmy się, ponieważ Znatowicz był starym studentem, na trzecim roku studjów, — ja zaś tylko co wszedłem w progi Uniwersytetu i nie byłbym spotkał Znatowicza, gdyby nie ta szczęśliwa dla mnie okoliczność, że prof. E. Langer dopuścił mnie do zajęć w pracowni chemicznej już w pierwszym półroczu mych studjów, dzięki czemu spotkałem się ze Znatowiczem nie na wykładach lecz w pracowni, która bardziej zbliża, niż spotykanie się na wykładach.

Znatowicz już jako starszy student, obeznany ze zwyczajami i organizacją pracowni, był dla mnie życzliwym mentorem przy stawianiu przezemnie pierwszych kroków na nowym terenie pracy. Zawsze uprzejmy, lecz zawsze poważny, hojny w informacjach, lecz unikający pustej wesołości, — mnie, młodszego kolegę, traktował na stopie koleżeńskiejsz równości, lecz przedmiotami naszych rozmów i zainteresowań były tylko przedmioty naukowe, lub narodowo społeczne. To, co się nazywało w brutalnym języku „kawalem” lub z niemiecka „witzem” było wykluczone nie tylko z naszych rozmów, ale wogóle z rozmów i zainteresowań współczesnej mi młodzieży, i współczesnego mi towarzystwa. Czas

były poważniejsze. Przeżyta klęska porywu w 1863 roku, myśl o przyszłości w coraz silniej zaciskających się więzach okupantów nie usposabiała do lekkomyślnej wesołości, a że ludzie nie dzielili się na mnóstwo partij, że wszyscy byli narodowo myślącymi — więc nie potrzebowali brać na siebie masek. Dla mnie dziś jest niewątpliwem, że opowiadanie t. zw. „kawałów” i „witzów”, jest przeważnie maską, nakładaną rozmyślnie, by wewnątrz duszy zasłonić przed niepożądaną ciekawością. Wówczas mogliśmy wszyscy być szczerze otwartymi.

Tak więc pierwsze me chwile poznania się ze Znatowiczem upływały nam w życzliwej współpracy, w życzliwym rozpatrywaniu kwestyj naukowych i w omawianiu podstaw wykluwającego się programu pracy organicznej.

Ze spraw naukowych ogólnych pociągala nas najwięcej energistyka. W dyskusjach nad jej postępami przyjmował chętny udział prof. Langer, uczeń Bunsena, znawca nauki o gazach. Nauka ta była poniekąd koniecznym przedmiotem naszych rozważań, bo w końcu obaj i Znatowicz i ja pomagaliśmy prof. Langerowi w jego badaniach nad elektrolizą pewnych związków organicznych. Przy badaniach tych wypadło nam zbierać i analizować wydzielające się gazy, musieliśmy więc dokładnie przestudjować Bunsenowskie „Gasometrische Methoden”, i wiadomości pokrewne.

Przy tych badaniach ja, początkowo, byłem specjalnie upośledzony. Mój wielki palec prawej ręki był zbyt mały, — nie zamykał rury absorbcyjnej. Gdy więc przypadało mi napełnioną rtęcią rurę postawić w wannie, musiałem się uciekać do pomocy Znatowicza, lub nawet samego profesora. Co prawda z czasem poradziłem sobie, podkładając pod brzusiec wielkiego palca kawałek wystarczająco grubej miękkiej płytki kauczukowej. Przed tem jednak w pracy mej byłem na łasce Znatowicza lub profesora.

W pracowni przebywaliśmy długo, wychodząc z niej między 8 a 9 wieczorem. Droga do domu wypadala nam wspólna i w tym czasie wspólnych peregrynacyj rozmawialiśmy najwięcej i zbliżyli najbardziej. Rozstawialiśmy się na rogu Królewskiej i Marszałkowskiej, przy tak zwanym przez studentów „głupim domu”*), w którym cały czwartak zamieszkiwali studenci i ja w ich liczbie. Ponieważ w pracowni zostawało nam bardzo mało czasu na rozmowy nie dotyczące przedmiotów naszych badań, — więc przeważnie podczas tych wędrówek do domu nastąpiło między nami zbliżenie na polu poglądów ogólnych. W znajomości

*) Obecnie dom T-wa Osad Rolnych, zawdzięcza swą pogardliwą nazwę „głupiego domu” tej okoliczności, że każde piętro miało inną wysokość i okna na każdym ujęto w inne obramienia.

przesłanek dopełnialiśmy się. Ś. p. Znatowicz znalazł wypadki w okresie z przed 1864 roku z Lublina, — ja znalazłem je po części z Warszawy, po części ze wsi, na której własnymi oczyma patrzyłem nie tylko na obie walczące strony, ale nadto byłem świadkiem orężnego starcia między nimi, zaś w Warszawie poznałem i dziesiąty pawilon i naprawdę wzruszające sceny przy gromadnem wyprawianiu zesłańców na Sybir z dawnego dworca Petersburskiego, gdzie bywałem i byłem, odwiedzając i odprowadzając mego ś. p. Ojca.

Ponieważ obaj byliśmy patriotycznie usposobieni, więc zbliżenie między nami postępowało szybko i zacieśniało coraz bardziej, co było rzeczą całkiem naturalną. Dzisiaj zdarza mi się czytać i w poważnych książkach i w prasie propagandowej o „doktrynach patriotycznych” oraz o „ideologii patriotycznej”. Ja wszakże myślę, że patriotyzm nie jest ani „doktryną” ani „ideologią”. Jest on najzupełniej realnym faktem, wynikającym z nakazów przyrody, która wyraźnie i niezłomnie daje każdemu z ludzi tylko dwa nakazy. Pierwszym jest rozkaz: pracuj. Jeśli nie zechcesz pracować, ukarzę Cię cierpieniami głodu, zimna, skwaru i choroby, poznasz mój gniew w jego najsurowszych objawach. Drugim nakazem jest: dbaj o utrzymanie gatunku. Jeśli ten drugi rozkaz spełnisz, to nagrodzę Cię rozkoszami miłości.

Te dwa nakazy są faktami — nie doktryną, nie ideologią. Obowiązują one wszystkie istoty żyjące, tak w świecie zwierzęcym, jak i roślinnym. W stosunkach ludzkich ten drugi nakaz nosi nazwę patriotyzmu. Słusznie też Mickiewicz w powieści *Wajdeloty* mówi od siebie, że wyrazowi „miłość” nie masz równego na ziemi oprócz wyrazu „Ojczyzna”.

Że ś. p. Bronisław Znatowicz za swe życie i czyny odbierał te nagrody, widzimy przedewszystkiem w tem, co o nim pisze jego Szanowna Córka. Ten, pomimo całego właściwego mu obiektywizmu, opis jest na skróś przeniknięty tak daleko idącą, w każdym zdaniu widoczną miłością do ś. p. jej dostojnego Ojca, że wątpię czy znajdzie się ktokolwiek, kto by o takim samem ustosunkowaniu się do własnych dzieci nie marzył. Ja zaś osobiście miałem szczęście, jeszcze wówczas gdy ś. p. Bronisław był kawalerem, być świadkiem gdy jego matka przyszła mu winażować imienin. Banalna, coroczna zwyczajowa scena, stała się w tym razie sceną nastroszoną na najwyższe tony macierzyńskiej i synowskiej miłości i ze względu na to pozostawiła niezatarty ślad w mej pamięci, ślad pełen dostojństwa i krasy.

Po ukończeniu Uniwersytetu Znatowicz wyjechał do Lwowa, na stanowisko asystenta przy katedrze Chemii, którą zajmował prof. Freund, ja zaś studjowałem dalej w Warszawie, gdy zaś Znatowicz powrócił do Warszawy ja już byłem w Petersburgu, bezpośrednia więc łączność

między nami została czasowo zerwana, lecz ideowa łączność w niczem nie została naruszona. Bo oto, gdy po roku bytności w Petersburgu przyjechałem na święta Bożego Narodzenia do Warszawy, Znatowicz zaprosił mnie na kolację do restauracji, co z jego strony było czynem niezwykłym, który mnie zdziwił. Skorośmy się znaleźli przy stole, ja jako żywszy zacząłem mówić, i wyłożyłem mój pogląd, że nasza młodzież nie powinna wyjeżdżać do Petersburga, gdyż tam stoją przed nią otworem tylko dwie drogi, na których młodzież ta przeważnie ginie dla sprawy narodowej. Jedną drogą jest zwykle karjerowiczostwo, drugą zajęcie się polityką. Na pierwszej drodze ginie dla sprawy narodowej mniej wartościowa, a na drugiej więcej wartościowa część naszej młodzieży, a ponad tę sprawę nie znam ważniejszej, — nawet nauka czysta musi jej miejsca ustąpić. Gdy już zmęczyłem się mym wykładem i ilustrowaniem przykładami mych poglądów, Znatowicz rzekł spokojnie: „A ja właśnie zaprosiłem Was, aby Wam toż samo powiedzieć”. Okazało się, że pomimo paroletnią rozłąkę nie zmieniliśmy naszych poglądów, i że zapraszanie mnie na specjalną rozmowę w tym celu nie było koniecznością.

Nie mogę sobie przypomnieć dokładnie ani daty, ani okoliczności w których Znatowicz oddał mi wielką przysługę: oto zapoznał mnie z Aleksandrem Głowackim (Bolesławem Prusem), który wówczas był początkującym pisarzem, ale już znamionującym wybitny talent. Znatowicz znał się z Głowackim z Lublina, ale widywali się rzadko, i sprawa naszego poznania się nie odbyła bez zachodu. Ta znajomość, której bez Znatowicza byłbym nie zawarł, przeszła z czasem w zażyłość nie tylko ze mną, ale i z moją rodziną i trwała po koniec dni tego istotnie wielkiego charakteru i wielkiego talentu.

A skoro już wspomniałem tu o Aleksandrze Głowackim, to nie mogę pominąć pewnego faktu, który się ściśle wiąże z ś. p. Bronisławem Znatowiczem, a który miał miejsce wtedy, gdy Znatowicz był w pełni swej cichej i wyjątkowo wielkiej pracy, przy czem zaznaczyć i podkreślić należy, że jego praca nie była hałaśliwa i była zupełnie nieznana poza bardzo szczerpłem gronem specjalistów. Otóż zdarzyło się, że z pośród większego grona osób zebranych Głowacki odwołał mnie na stronę i zwrócił się do mnie z dość dziwnym pytaniem, które zapamiętałem właśnie na skutek jego niezwyklej redakcji i które brzmiało: „Powiedz mi Pan, jak to może się upłynąć tak porządny człowiek, jak Znatowicz”? Na pytanie w tej formie postawione istotnie odpowiedź była bardzo trudna. Nie pamiętam już, co odpowiedziałem p. Głowackiemu, zdaje mi się, że nic. Ale że w tem pytaniu tkwiło najżywsze uznanie dla ś. p. Bronisława, to nie ulega żadnej wątpliwości, bo w dalszym ciągu rozmowy dość długiej,

p. Głowacki wypowiedział poprostu entuzjastyczną mowę o charakterze i działalności Znutowicza.

Powoływanie się na świadków niezawsze jest wskazane. Bywają świadkowie, których sąd karze więzieniem za fałszywe zeznania, bywają i tacy, na opinię których nie warto się powoływać, ale w stosunku do wielkiego talentu psychologicznego i do nieskazitelnego charakteru, jakim był Prus, rzecz się przedstawia inaczej. Dla przyszłych pokoleń, które Br. Znutowicza nie znały, świadectwo Bolesława Prusa nie będzie błędem zeznaniem, i zaważy w ich umyśle więcej niż to, co ja mógłbym zaznaczyć mem nieudolnym piórem. Z tego powodu pozwoliłem sobie powyższy fakt zacytować z tem przekonaniem, że on zaważy w opinii tych ludzi, którzy nawet nie znając Prusa będą znali choćby tylko część jego utworów.

Po powrocie moim z Petersburga, a Znutowicza ze Lwowa zamieszkaliśmy razem; dwaj bracia Znutowiczowie i ja. Znutowicz objął stanowisko asystenta przy katedrze Chemji w Uniwersytecie Warszawskim, którą zajmował prof. Aleksy Potylicyn, ja zaś oddałem się nauczaniu w polskich szkołach prywatnych, w których jednak wykłady odbywały się po rosyjsku. Brat Znutowicza, Witold, z wykształcenia prawnik, pracował w sądownictwie.

Oczywiście, że w domu bywaliśmy tylko po południu i wieczorami, bo dzień zajmowała nam praca poza domem. Mieszkanie mieliśmy czyste, ładne i dość obszerne, tak że wieczorami mogliśmy pracować, nie przeszkadzając sobie wzajemnie. A pracy było dużo. Dla Znutowicza zwiększyła się ona, gdy dr. Konrad Dobrski, wypełniając brak w Warszawie pisma higienicznego, założył tygodnik „Zdrowie” i redakcję powierzył Znutowiczowi.

Pozyskaliśmy przez to nowy organ, w którym mogliśmy się wyowiadać, boć hygiena jest niezmiernie blisko nauk przyrodniczych. Mieliśmy więc dwa pisma przyrodnicze, gdyż oprócz „Zdrowia”, Bronisław Reichman wydawał w Warszawie czasopismo zatytułowane „Przyroda i Przemysł”.

Wielką jest zdobyczą mieć otwarty dostęp do jakiegokolwiek pisma periodycznego. Jest to zdobycz tem donioślejsza, im w bardziej powołanych rękach znajduje się kierownictwo. Ja osobiście przekonałem się o tem dwukrotnie: raz dzięki Znutowiczowi, gdy redagował „Zdrowie” i „Wszechświat”, drugi raz dzięki Teodorowi Paprockiemu, księgarzowi, który darzył mnie swoim zaufaniem, i drukował nie tylko to, co mu przyniosłem, ale i to, co mu poleciłem do drukowania lub wydania. Możliwość publicznego przemawiania, gdy się ma coś do powiedzenia, jest sprawą bardzo doniosłą.

Znatowicz na stanowisku asystenta prof. Potylicyna, nie doznawał przyjemności. Pomimo wysokie wyrobienie towarzyskie Znatowicza i jego takt w postępowaniu, doznawał jednak ze strony profesora wielu przykrości. Nie ukrywał on przedemną dokuczliwości stosunku do swego szefa, jak i nie ukrył przedemną tego faktu, że umitygował swego agresywnego i niedelikatnego zwierzchnika w rozmowie w cztery oczy, bardzo energicznej i zakończonej niezłomnymi obietnicami. Od czasu tego dyplomatycznego wystąpienia w formach całkiem niedyplomatycznych, pan Potylicyn zmienił metody swego postępowania na znośniejsze.

Potylicyna poznałem dawniej w Petersburgu. Dużo starszy odemnie był typowym ruskim liberałem. W stosunku do Polski robił w rozmowach ze mną na jej rzecz tak daleko idące ustępstwa, że nawet ja mitygowałem jego rozmach w tym kierunku. A jednak, gdy z Petersburga ten postępowy liberal przyjechał do Warszawy i do Puław na dyrektora tamtejszego Instytutu gospodarstwa i leśnictwa, to pozostawił wśród społeczeństwa i studentów najgorszą po sobie pamięć, jako krańcowy rusyfikator. Był to człowiek oschły, bez dowcipu, bez uśmiechu, bez dobroci, i doprawdy, współpraca z nim musiała być dla Znatowicza bardzo niemiła, ja zaś doprawdy nie umiem sobie wytłumaczyć motywów, dla jakich tak zacny i rozumny człowiek jak prof. Mendelejew w rozmowach ze mną chwalił nieudolne prace Potylicyna nad wzajemnem rugowaniem się chlorowców przy wysokich temperaturach.

Współżycie upływało nam spokojnie i cicho w pracy, której każdy z nas miał poddostatkiem.

Trzy razy tylko systematyczny spokojny bieg naszego życia został naruszony. Pierwsze naruszenie naszej ciszy spowodowało zasłabnięcie Znatowicza pod wpływem zatrucia się aniliną. A chociaż choroba wywołana tem zatruciem przeszła bez śladu po upływie paru dni, to jednak pierwsze jej objawy były bardzo groźne. Było to zimą, Znatowicz w ciepłym ubraniu w suterenowej części pracowni uniwersyteckiej destylował anilinę, którą w gorącym stanie, ogrzaną niemal do wrzenia oblał sobie nogę na wysokości uda. Gruba odzież sprawiła że oparzenia nie było. Znatowicz po wypadku udał się jak zwykle do rodziców na obiad, skąd przyjechał do naszego mieszkania, w stanie takiego osłabienia, że musiano go po schodach wprowadzać, niemal wnosić. Ja już byłem w domu i spostrzegłem objawy groźne: białka oczu, wargi, paznogie były sine. Objawy te wystąpiły w drodze po wyjściu z obiadu. Zrobiłem na razie to, co mi się zdawało wskazanem: pomogłem mu się rozebrać, ułożyłem w łóżku stojącym w nisz, przykryłem szczelnie kołdrą, zapuściłem kotarę i pobiegłem do dr. Dunina, mieszkającego w pobliżu nas, o parę domów. Dr. Dunin wysłuchawszy mnie nie

kwapił się z wyjściem z domu, czem mnie zdziwił i zniecierpliwił, lecz wyjaśnił mi, że nie wie jak leczyć zatrucie anilinowe i musi zajrzeć do książki. Na szczęście miał jakąś nową toksykologję niemiecką, w której znalazł króciutką wzmiankę o zatruciu anilinowem, sprowadzającym wówczas nowe, jeszcze nieznane i niezbadane [dokładnie objawy. Dopiero po przejrzeniu kilku książek przez Dunina poszliśmy do Znato-wicza, gdzie okazało się, że wszystkie moje zabiegi były błędne, gdyż Dunin kazał Znato-wiczowi ubrać się i usiąść w otwartym, choć było zimno, oknie. Chodziło mu o wzmożone oddychanie możliwie czystym powietrzem. Zatrucie więc nastąpiło na skutek prze-siąknięcia przez skórę tej aniliny, którą była przesycona gruba odzież.

Jak pierwsze naruszenie naszego spokojnego biegu życia było wywołane nowym stosunkowo wypadkiem zatrucia, tak samo drugie naruszenie normalnego biegu naszego życia wywołały trzy współcześnie niemal dokonane nowe wynalazki: telefonu, mikrofonu i fonografu.

Pierwsze egzemplarze tych przyrządów, jakie znajdowały się w Warszawie, były w mojem posiadaniu, — więc rzecz prosta, że drzwi się u nas nie zamykały, gdyż ustawicznie przychodzili ciekawi oglądać te nowe cuda. Raz nawet, po posiedzeniu Towarzystwa Lekarskiego późnym bardzo wieczorem przybyli do nas wszyscy niemal Członkowie Towarzystwa, obecni na posiedzeniu i przyprowadzeni przez d-ra Dobrskiego.

Z temi przygodnemi, nieoczekiwanemi wizytami trzeba było wreszcie skończyć i urządzić dla przyjaciół ogólny pokaz przyrządów. Tak się i stało. Przyszło kilkadziesiąt osób, a w ich liczbie solennie zaproszony przez nas p. Aleksander Głowacki (Bolesław Prus).

Pokaz fonografu urządziliśmy w ten sposób, że większość obecnych poprosiliśmy, aby przeszli do kuchni i do przedpokoju, a przy kilku za-ledwie osobach deklamowaliśmy do fonografu, poczem poprosiliśmy nie-obecných przy deklamacji, aby wysłuchali tego, co im powie fonograf. Fonograf sprawiał się nieszczęgólnie i każdy z obecnych co innego słyszał i zapewniał, że słyszał wyraźnie. A że wszyscy mówili współ-cześnie i bardzo głośno, więc powstał nieoczekiwany i bardzo hałaśliwy rejwach. Wtedy zabrał głos p. Głowacki i powiedział sentencjonalnie: „Oto jest cicha wiedzy fizycznej świątynia”.

Była to aluzja do mego propagandowego artykułu, w którym użyłem wyrażenia, że w Warszawie powinna powstać „Cicha wiedzy fizycznej świątynia”.

Trzecim nareszcie naruszeniem naszego cichego życia, były przyjazdy p. Krzesimowskiego, obywatela z Sandomierskiego, kuzyna Znato-wicza, który parokrotnie zatrzymywał się u nas. Jego obec-

ność u nas, zawsze mile widziana, przerywała monotonię naszego współżycia i dawała nam dużo bardzo miłych chwil.

Lecz że życie biegnie i nie zatrzymuje się, więc po upływie pewnego czasu musieliśmy się rozłączyć, chociaż mnie z obu Znałowiczami było bardzo dobrze, a spodziewam się, że i oni ze mną przykrości nie doznawali.

Nie od rzeczy może będzie podanie w tem miejscu charakterystyki i spisu tych osób, z którymi nam żyć i współpracować wypadało. Na liście tej nauczycieli naszych bezpośrednich: *Erazma Langer*a i *Romana Wawnikiewicza* wkrótce niestało. Prof. *Langer* przeszedł na prowincję do przemysłu, docent *Wawnikiewicz* pojechał do Dublan, dla Warszawy obaj zostali straceni. Siłą faktu, w wyniku posiadanej energii nie nominowanym naszym przywódcą był p. *Eugenjusz Dziewulski*, który chociaż z asystentury przy katedrze fizyki przeniósł się na stanowisko Inspektora oświetlenia gazowego w Magistracie Warszawskim, nie przestał pomimo to być duszą tego grona, które rozwój nauk ścisłych w Warszawie miało na celu. W gościnnym i miłym domu państwa *Dziewulskich* na Podwalu zbieraliśmy się zazwyczaj w niedzielę, omawiając rozmaite zajmujące nas sprawy bieżące, a więc sprawy związane z redagowaniem „*Zdrowia*”, „*Wszechświata*”, sprawy utworzenia naszej własnej sieci meteorologicznej, której ojcem duchowym był *Dziewulski*, a w następstwie wydawnictwa *Pamiętnika Fizjograficznego*. Poza *Dziewulskim* ściśle z nami związanymi byli: *Napoleon Milicer*, mg. chemji, równie jak i *Dziewulski* zajęty w Szkole Głównej jako asystent przy katedrze chemji, z którego to stanowiska, unikając stosunków z najeźdźcami, przeniósł się do Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, na stanowisko Kierownika Pracowni Chemicznej. *Milicera*, jednego z najbardziej cenionych uczniów *Bunsena*, cechowały niezwykle zdolności, bajeczna poprostu umiejętność eksperymentowania, wykwinne wyrobienie towarzyskie i wymowa, przekraczająca miarę zwykłego talentu. Dzięki tym ostatnim dwom przymiotom był towarzysko poprostu rozrywany przez warszawskie salony. Konieczności życiowe popchnęły go między innemi do wykonywania ekspertyz sądowych. W tym kierunku zasłynął nie tylko umiejętnością rozwiązywania spraw znanych, ale i w rozwikływaniu zadań nowych. Wyrobiło się wśród nas przekonanie, że wydanie w druku protokołów ekspertyz, wykonywanych przez *Milicera* na zlecenie władz sądowych, dałoby nam najznakomitszy podręcznik chemji sądowej. Na to jednak *Milicer* nie miał czasu.

Na liście naszych bliższych kolegów należy też umieścić p. *Wład. Gosiewskiego*, urzędnika w Tow. Kred. Miejskiem, biegłego matematyka i filozofa, całą duszą oddanego nauce. Znał i studjował szkołę

eleatów (Parmenides), później oddał się przeważnie rachunkowi prawdopodobieństwa. Prof. Władysław Kwietniewski, b. docent w Szkole Głównej, następnie nauczyciel-kierownik gimnazjum Warszawskiej polskiej stacji meteorologicznej i całej polskiej sieci, wybitny matematyk (przełożył na polski algebrę Todhuntera), znawca fizyki teoretycznej, dzięki któremu ja osobiście poraz pierwszy poznałem przez niego dynamiczną skalę temperatur lorda Kelvina, podówczas jeszcze Sir Wiliama Thomsona.

Antoni Słosarski był w liczbie cenionych pracowników zarówno ze względu na swą wiedzę (anatomja porównawcza), ale i ze względu na swój charakter. Był asystentem przy katedrze zootomji i nauczał w szkołach średnich.

Władysław Leppert, wybitny działacz na polu grupowania w łączne ciało chemików Warszawskich. Przyjaciół i uczniów Marcelego Nenckiego, badał chemicznie wody studzien warszawskich przed wprowadzeniem nowych (dzisiejszych) wodociągów. Na polu zbliżenia się chemików warszawskich zasłużył się istotnie.

Bardzo poważną rolę, całkowicie dodatnią, odegrał czcigodny i niezapomniany Dr. Szokałski. Czciłiśmy go i z tego powodu, że mówiono o nim, iż podczas bitwy pod Grochowem w 1830 r. już spełniał obowiązki społeczne, opatrując rannych. I on, choć przyciśnięty wiekiem, zachęcał nas stale do łączenia się w celu wykonywania pracy zbiorowej w celu wzajemnej wymiany myśli, w celu, jak się wyrażał „badania kwestyi X”. Tem mianem „kwestyi X” staruszek oznaczał każdą nierozwiązaną sprawę naukową. Zapaleł prześcigał młodych. Przy każdym spotkaniu rozpytywał o to, co słyhać „z kwestją X”. Zapraszał nas do siebie na obiady, byleby nas łączyć i do pracy naukowej zachęcać. Jako dygnitarz w Warszawskim Towarzystwie Lekarskiem przeprowadził to, że Tow. Lek. przytuliło nas do siebie jako pododdział przyrodniczy, udzielało nam sali na posiedzenia i zapewniło możność korzystania z biblioteki.

Z obawy, by na Towarzystwo Lekarskie nie ściągnąć represyj na jeźdźców za przekroczenie ustawy, przenieśliśmy się z czasem z naszymi zebraniem do Resursy Kupieckiej w liczbie około 30 osób, a na dobro władz Resursy należy zapisać to, że zniżyły nam opłatę członkowską, gdyż zbieraliśmy się tam tylko raz na tydzień, nie korzystając wcale z innych udogodnień w Resursie.

Nie stało Cię towarzyszu i przyjacielu lat młodych, lat najlepszych! Gdy powróciłem w r. 1918 z bolszewji, pierwszą wzmiankę o Tobie dała mi tablica pośmiertna w kościele N. P. Maryi Łaskawej. obok katedry.

Ci, co pamiętali o Sarbiewskim, Gołuchowskim, Pankiewicz u, Słosarskim, Łapczyńskim uczcili i Twą pamięć kamieniem grobowym. Zrobili dobrze, bo świeciłeś nam wszystkim nie hałaśliwemi mowy i deklamacjami, lecz żywym przykładem niezmordowanej pracy i niezłomnej wytrwałości. Umiłowałeś Polskę w jej najwspanialszym objawie—w jej języku i byłeś przez długie lata stróżem jego czystości. Cześć Twojej pamięci, dla Twych zasług uznanie Ci się należy.
